



GASTON LEROUX
DAMA W ZŁOTYM
BROKACIE

ARMORYKA

Gaston Leroux
DAMA W ŻŁOTYM BROKACIE

Gaston Leroux

**DAMA
W ŻŁOTYM
BROKACIE**

przeł. *M. M.*

**Armoryka
SANDOMIERZ 2008**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Na pierwszej stronie okładki: John Collier (1850-1934) *Queen Guinevre's Maying*, (licencja
public domain), źródło:
http://commons.wikimedia.org/wiki/Image:John_Collier_Queen_Guinevre%27s_Maying.jpg

Copyright © 2007 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-89-1

P rzed laty jeszcze nosiłem się z zamiarem napisania kroniki, która by objaśniała i uzupełniała katalog moich zbiorów — lecz nie mogłem się zdecydować, w jaki sposób mój zamiar skutecznić. Ale pewnego dnia, gdy po raz nie wiadomo który przeglądałem moje skarby, wzrok mój padł na relikwiarzyk z kości słoniowej i emalii i równocześnie fala wspomnień ogarnęła mą wyobraźnię — wspomnień tak żywych i porywających, o tak dramatycznym napięciu, że po prostu dziwiłem się, jak mogłem tak długo zwlekać z napisaniem tej historii.

Wiem o tym, że wielu ludzi wzrusza z politowaniem ramionami, gdy chodzi o mój zapal zbieracza starożytności. Większość z nich uważa „szał antykwaryczny” jako chorobę i nie mogą tego pojąć jak można otaczać się stosem starych, zakurzonych drobnostek, stanowiących rozsadniaki bakcyłów; inni zaś przyznają wprawdzie wartość archeologiczną tym niemyim świadkom zamierzchłej przeszłości, uważają wszakże, że „takie rzeczy” należą właściwie do muzeum publicznego, gdzie zadaniem ich jest służyć ogółowi; są jeszcze i tacy, których zdaniem zbiory prywatne należałoby segregować na poszczególne rodzaje, mianowicie osobno składać broń, osobno szkła, meble, obrazy itp. — jednym słowem mieszanina taka rozszczepia uwagę oglądającego i czyni z tych zbiorów kram starych gratów, podczas, gdy

specjalne działy umożliwiają, by zbiór nabral wartości kulturalno-historycznej.

Na ten ostatni pogląd zgadzam się już od dawna. Moją specjalnością są — skrzynki. Począwszy od potężnej skrzyni, kryjącej niegdyś całą wyprawę weselną, aż do najmniejszego pudełeczka na igły, a nawet aż do tabakierki naszych pradziadów — jednym słowem skrzynki w najróżnorodniejszym stylu, kształcie i wielkości, skrzynki z wszelakich epok pochodzące, z drzewa, metalu, kości, rogu a nawet masy papierowej. Bez przesady mogę twierdzić, że zbiór mój zawiera istne skarby, a najwspanialsze okazy znajdowałem najczęściej tam, gdzie by się ich najmniej spodziewać można. Każdy przedmiot znaleziony ma dla mnie odrębną wartość już choćby dlatego, że nieraz w dziwny sposób stawałem się tegoż posiadaczem, prócz tego jednak śledząc pochodzenie danych skrzyneczek, natrafiałem na najrozmaitsze historie poprzednich właścicieli. Nie tylko ludzie, lecz często i rzeczy mogą mieć swoje romantyczne historie, o których można by spisać całe tomy.

Przyznam się również, że często potrafiłem godziny całe spędzać na fantazjowaniu na temat przeszłości moich zbiorów, a dodam także i to: że prawdziwy, inteligentny zbieracz zawsze potrafi wetchnąć w ten sposób życie w rzeczy, które prawdziwie ukochał; innych zbieraczy nie uznaję zupełnie. Najczęściej wprawdzie poetyczne mrzonki pozostaną mrzonkami tylko — czasem jednak można na tej drodze dojść do istotnej prawdy i to tam, gdzie się jej najmniej spodziewać można; w ten sposób poznaje się tak cudowne przeżycia, że graniczą już ze światem nadprzyrodzonym.

O takim właśnie przeżyciu — czy też tylko doświadczeniu — opowiem poniżej.

Moja dawna przyjaciółka, lady St. Bride, o której wspomnę jeszcze w trakcie niniejszego opowiadania, utrzymuje, mówiąc o mnie, że posiadam dar widzenia więcej,

aniżeli inni śmiertelnicy, skutkiem czego przeżywam rzeczy zupełnie odmienne, aniżeli większość ludzi na tym dzisiejszym trzęwym, prozaicznym świecie.

Nie mogę wprawdzie być tego samego, zbyt śmiałego nieco zdania, ale to pewne, że więcej się doświadcza i przeżywa, aniżeli to dochodzi do wiadomości ogółu. Stygmat śmieszności, obawa przed nieznalezieniem wiary u słuchacza, powstrzymuje większość od zwierzania się z wypadków przeżytych. Narratorzy nie cieszą się ogólnie dobrą opinią, ponieważ albo są nudni, albo zbyt przykuwają uwagę słuchacza — a w tym ostatnim wypadku oskarża się ich z reguły o przesadę, ponieważ ogólnie twierdzi się, iż w życiu rzeczywistym „takie historie” zupełnie się nie zdarzają.

Historia, którą chcę właśnie podzielić się z czytelnikami, należy właśnie do tych, które posiadają urok niesamowitości — że się tak wyrażę — ale pozwalam każdemu myśleć o tym, co powiem, zupełnie dowolnie. „O, la, la!” albo „No, no!” lub też „Oho!” usłyszę niejednokrotnie od czytającego — zależy od indywidualności danej osoby i od tego, czy mi uwierzy, lub nie. Zastrzegam się jednak zasadniczo, że spirytystą nie byłem ani nie jestem i nie wierzę zupełnie w spirytyzm — co więcej, należę do obozu zawziętych przeciwników sekty modnego okultyzmu, mediumizmu i innych tego rodzaju bredni i banialuk, drwiąc i darząc niewiarą wyznawców tych nowych prądów.

A teraz do rzeczy po tym przydługim nieco wstępie.

Przed kilku laty zmuszony byłem z powodu wykolejenia się pociągu spędzić krótki czas w pewnym małym miasteczku holenderskim. Przymusowy ten pobyt był mi nie na rękę. Z powodu załamania się mostu na linii, którą jechaliśmy, pociąg, który i tak nie bardzo się spieszył, mógł, według orzeczenia naczelnika stacji, ruszyć dopiero nazajutrz; kto zatem z pasażerów, miał nawrócić, uparcie dążył naprzód, musiał starać się umożliwić sobie jako tako czekanie w tej

małej mieścinie. Po krótkim wahaniu zgodziłem się na tę ostatnią alternatywę i wśród strugi ulewnego deszczu brodziłem nieskończenie długim gościńcem, wiodącym ze stacji do małego, schludnego miasteczka, gdzie w jedynej na całą miejscowość oberży znalazłem prymitywne, lecz czystość pomieszczenie i spędziłem możliwie noc w wyścielonym miękkim puchem holenderskim łóżku gościnnym.

Następny dzień przedstawiał się wprost rozpaczliwie. Co u licha począć w tej dziurze? Po śniadaniu wyszedłem na zwiedzenie miasteczka; podziwiałem czas jakiś starodawną architekturę domków, zwróconych do frontu trójkątnymi szczytami, po czym zwiedziłem nowy, bynajmniej nie interesujący kościół. Unikając dzielnicy, zabudowanej przez nowobogackich modnymi willami, której zwiedzenie poleciła mi z zapalem moja gospodyni, zwiedziłem jeszcze kilka najstarszych uliczek miasta, oglądałem bezmyślnie kilka wystaw sklepowych, zupełnie obojętny na ich wspaniałość — wtem nagle stanąłem jak wryty przed wystawą kramu, zawierającą najrozmaitsze przedmioty sztuki starożytnej i najnowszej. Wszystko to beładnie pomieszane, rzeczy bezwartościowe obok istnych skarbów — ot, jak zwykle przechowuje tego rodzaju kramarz. Pomny jednak, że właśnie w takich budach znalazłem najcenniejsze okazy mego zbioru, uległem znowu nieprzepartemu urokowi, jaki na mnie zawsze wywierają tego rodzaju osobliwości, a mój szósty zmysł kolekcjonera odkrył wśród tych beładnie pomieszanych osobliwości prześliczną szkatułeczkę z szylkretu, oprawną w metal — doskonały punkt zaczepny pozwalający na zwiedzenie wnętrza lokalu.

Wszedłem zatem do sklepu — dzwonek zawiadomił natychmiast właściciela, że zjawił się klient. Na powitanie moje wyszedł starszy jegomość w drewnianych sabotach, podał żadaną szkatułkę z wystawy i wkrótce byłem szczęśliwym jej posiadaczem.

— Czy mogę rozglądać się wśród pańskich skarbów — może znajdę jeszcze coś godnego nabycia, na przykład jakąś piękną, starodawną skrzyneczkę!

— I owszem, proszę oglądać, co tylko tutaj się znajduje — trudno, bym pamiętał o wszystkim, co mój sklep zawiera — odparł obojętnie kramarz.

Odpowiedź taka bardzo była mi na rękę — wertowałem więc wszystko, co się tylko dało, podczas gdy właściciel przypatrywał mi się bez najmniejszego zainteresowania.

Długo grzebałem w tym wszystkim zupełnie bez rezultatu — już miałem zamiar zrezygnować z interesu, zwłaszcza, że zaduch, właściwy starym gratom i sukniom, stawał się nie do zniesienia, gdy wtem zrzuciłem nieostrożnie ogromny stos starych, potarganych worków i czułem się zobowiązany uporządkować te brudne szmaty. Usiłowaniami moimi przypatrywał się kramarz spokojnie i niewzruszenie. Kładąc ostatni worek na swoim miejscu, poczułem, że zawiera coś twardego i ciężkiego.

— Tam do licha, a cóż to być może! — krzyknąłem zdziwiony, gdyż, jak mi się zdawało, podniosłem coś w kształcie kasety. Obejrzałem to pod światłem — i wzrok mój olśniło dzieło sztuki, o jakim nie marzyłem we snach najśmielszych. Przypatrywałem się tej kasetce radośnie i bezgranicznie zdumiony. Była to skrzyneczka nie przeznaczona do codziennego użytku, lecz jako relikwiarzyk.

Długa na piętnaście centymetrów, szeroka na dziesięć, miała kształt gotyckiej trumienki z ostro ściętą nakrywką; cała z poźółkłej kości słoniowej, pokryta była na wszystkich sześciu płaszczyznach bogatymi rzeźbami w formie artystycznie poplątanych girland i arabesek w stylu bizantyńskim. Na czterech rogach wystawały wysokie, spiczaste wieżyczki z metalu, prawdopodobnie z grubo poślacanego srebra, oparte na kolumienkach, których basis tworzyły nóżki małej skrzyneczki. Podczas gdy trzymałem przedmiot, który napełnił mnie taką radością

i zachwytem, zauważyłem, że zaduch i cuchnąca atmosfera kramu zaczynają mi szkodzić — nagle ogarnęło mnie uczucie jakby trwogi, wstrętu i nudności — krople potu wystąpiły mi na czoło — byłem zmuszony położyć skarb znaleziony na stole i co prędzej usiąść, tak bardzo czułem się wyczerpany.

Kramarz stał bez słowa i wpatrywał się we mnie z ciekawym wyrazem twarzy, jakby z drzewa wyróżnionej. Tymczasem atak osłabienia już przeminął i z zapalem przystąpiłem do interesu.

— Ile pan żąda za tę skrzyneczkę? — zapytałem.

Kupiec wpatrywał się we mnie uporczywie.

— Chce pan to kupić? — odpowiedział zapytaniem.

— Skoro cena będzie przystępna, to czemuż by nie? — odrzekłem zdumiony.

— Myślałem ponieważ zrobiło się panu słabo...

— Dziękuję — to powietrze winne temu — jest nieco za gęste.

— O, nie — powietrze w moim lokalu jest takie, jak wszędzie — odparł kramarz — to ta skrzyneczka — wskazał na relikwiarzyk — winna pańskiemu osłabieniu. Tak, teraz już panu wiadomo.

A jeśli mimo to chce pan to nabyć, powiedz pan, ile chcesz dać za to — i proszę zabrać tę kasetkę w imię Boże — ale im prędzej, tym lepiej.

Zdumiony spojrzałem na dziwnego kupca. Miał chyba rozum nie w porządku!

— Nonsens — odrzekłem. — Pan jako kupiec powinienś wiedzieć ile zażądać — na targowanie się zawsze się znajdzie pora.

Kramarz zdjął w zamyśleniu z głowy trykotową szlafmycę i podrapał się z wolna w łysinę.

— To trochę osobliwa rzecz, widzi pan dobrodziej — wyrzekł nareszcie. — Jeśli mam szczerze wyznać, co to dla mnie warte, to powiem: ani uderzenia łopatą w ziemię, aby to zagrzebać; ani pójścia nad rzekę, aby to utopić. Jeżeli jednak

mogę coś za to uzyskać — ha, tym lepiej dla mnie. Jestem biedakiem, mój panie — sklep chroni jedynie od troski o chleb codzienny — niechże pan powie, co chce dać za to.

— Ależ pan zapewne sam kupił tę skrzyneczkę i wie, co za nią zapłacił.

Kramarz przestępował zmieszany z nogi na nogę — nagle wpadło mi na myśl, że to może kasetka kradziona. Ale ten człowiek wyglądał tak poczciwie!

Jak gdyby odgadł moje myśli, odparł kupiec:

— Proszę nie wyobrażać sobie niczego podejrzanego — sprawa jest całkiem czysta, a jednak kupiłem to — i nie kupiłem zarazem. Chcę być szczerzy, prosta droga jest zawsze najkrótsza. Widzi pan, to było tak: przed rokiem zmarła w naszym miasteczku dziewięćdziesięcioletnia staruszka, pani Heerengracht, co to była wdową po pisarzu magistrackim. Tę trochę dobytku, co go uskładała kobiecina, zapisała miastu, choć nie była Holenderką, lecz, Angielką. Dzieci nie miała. No więc miasto sprzedało spadek na licytacji, a mnie się dostała z tej okazji skrzynka z polanami drzewa, takie suche, żywiczne i twarde, co grzeją, jak węgiel, a mało tego wychodzi. Jak-em to rozpakował, bo mi skrzyni trzeba było na co innego, patrzę, a tu leży na dnie ta skrzyneczka. No, z początku, tom się bardzo ucieszył z dobrego kupna, ale potem sobie pomyślałem: nie, to się tak nie godzi, nie mam prawa do tego. No bo doprawdy, nie wiadomo, jak to nazwać. Niby kasetka, a żadna kasetka, bo chociaż ma wieczko, ale takie, co się wcale nie otwiera. Zapewne to tylko tak było zrobione, od parady. Poszedłem zatem zaraz do magistratu i zgłosiłem com znalazł, ale mi powiedzieli, że to moje szczęście; skrzynię z drzewem kupiłem na licytacji, a gdyby tam był nawet krokodyl zamorski, byłby moją własnością. Widzi pan więc sam, że nie mogę stawiać ceny za tę skrzynkę. A zresztą pan pierwszy to chce kupić.

— Nic dziwnego, skoro schował pan to do worka i trzymał w ciemnym kącie — odparłem ze szczerym śmiechem.

— Ależ nie — z początku dałem to do wystawy, ale mi ludzie mówili, żebym to najpierw obmył z brudu i prochu, co na palec na tym wyrósł — odrzekł kramarz, rzucając wzgardliwe spojrzenie na cudowny, w zagłębieniach brązowawy odcień kości słoniowej i bajeczną patynę, którą pokryte były nóżki metalowe skrzyneczki. — Ale ten brud siedzi jak przyrosły, a ja nie mam czasu, żeby się z tym bawić — ani ochoty też. Nie, nie mam wcale ochoty — powtórzył z dreszczem strachu — już tam stara Heerengrachtowa wiedziała, dlaczego ukryła to dziwactwo w drewnitni pod polanami drzewa. Ale swoją drogą — gdybym mógł coś na tym zarobić... Każdy złoty lepszy, aniżeli ta skrzynka!

Zaproponowałem zatem człękowi temu pięćdziesiąt holenderskich guldenów. Z początku nie zrozumiał mojej oferty, a gdy ją kilkakrotnie wyraźnie powtórzył, zirytował się strasznie i nakrzyczał na mnie, czemu wyprawiam tyle hecy z tym czartowskim sprzętem! On jest człowiekiem prawym i nie myśli nikogo rabować — tak jest, rabować! — Na to ja objaśniłem go, że i ja należę do ludzi uczciwych, znam się doskonale na antykach i oświadczam, że kasetka warta jest przynajmniej tyle, jeśli nie znacznie więcej — a jeżelibym się omylił, no w takim razie to moja wina, a nie jego. No i sprawa tak się wreszcie skończyła, że kramarz musiał przyjąć pieniądze, widocznie święcie przekonany, że ma do czynienia z wariatem, którego należy się pozbyć jak najrychlej. Wreszcie zmiarkowałem, że wziął mnie za lucypera; gdy mu wyliczył pieniądze, dotknął się krzyżem każdej monety z osobna. — Wszystko w porządku — pieniądź się nie kurczy i nie czuć go siarką!

— No myślę! — odparłem, śmiejąc się serdecznie. — Wczoraj dopiero nabyłem te guldeny w banku w Utrechcie!

A wtedy kramarz — nazywał się Tulpenboom — podał mi dłoń wzruszony.

— Dziękuję panu — powiedział serdecznie. — Co za szczęście! Ani mi się śniło, że taka rzecz może człękowi przynieść tyle szczęścia. Bo, prawdę powiedziawszy, już i tak to do pana należy — ale ja nie żaden wydrwigrosz i sumienie nakazuje mi wyznać calutką prawdę: ta skrzynka posiada moc czartowską!

— Jakżeż to! — zapytałem szczerze, ubawiony tą rewelacją.

— Ano odkąd jest u mnie, trapią mnie straszliwe sny — odparł z wahaniem. — A zawsze mi się to paskudztwo musi we śnie pokazać. Skoro więc chciałby pan pieniądze odebrać, to...

Miast odpowiedzi zapakowałem pospiesznie moją najnowszą zdobycz w pomietą gazetę, którą mi pan Tulpenboom podał — przy czym śmiałem się w duchu serdecznie z przesądów, których nie można widocznie wytepić w pewnych sferach społeczeństwa.

— Oj, tak, tak — nieboszczka stara Heerengrachtowa — błogosław Panie jej grzesznej duszy — wiedziała o niejednym, co powinno być nieznanne sprawiedliwemu chrześcijaninowi — opowiadał stary gaduła z widocznym wzruszeniem, bawiąc się dźwięczącymi monetami. Zwykła mawiać, że sny pochodzą z przejedzenia — no i zaoszczędzała sobie kolację, bo była stara skąpica, — niech jej Pan Bóg da Królestwo niebieskie! — Co za bluźnierstwo, takie gadanie! Wszak i Biblia objaśnia nam pochodzenie sennych widziadeł. Niech Bóg pana strzeże przed takimi snami, jakie mnie nawiedzały!

Zapewniłem pocziwca, że nie mam zwyczaju śnić o czymkolwiek, sypiam bowiem zbyt twardo — i opuściłem kram, unosząc skarb, a zostawiając szczęśliwca.

Prawda, że mógłbym uzyskać skrzyneczkę za połowę, ba, nawet za trzecią część sumy zapłaconej — i realna wartość byłaby uczciwie wynagrodzona, a Tulpenboom również szczęśliwy, lecz gdy poddałem przedmiot starannej obserwacji, przekonałem się, że wartość artystyczna przewyższa dziesięciokrotnie sumę zapłaconą. Wieżyczki na

rogach kasetki na czterech kolumnkach umieszczone były istnymi arcydziełami sztuki złotniczej. Cóż dopiero mówić o koronkowych płaskorzeźbach, rznętych w kości słoniowej! Badając dokładniej arabeski, poznałem, że są to emblematy czterech Ewangelistów, kunsztownie splecione; wieżyczki utrzymane były w stylu gotyckim, jak na ozdobach kościołów z wieków średnich; przypuszczenie moje, że mam przed sobą średniowieczny relikwiarzyk, zyskiwało na prawdopodobieństwie. Ale kramarz miał rację — nigdzie nie mogłem znaleźć śladu, gdzie by się skrzyneczka otwierała; a przecież byłem przekonany, że przeznaczona była do otwierania, że nawet musiała się otwierać.

Cały dzień spędziłem na usiłowaniach wpadnięcia na ślad tej możliwości; skrzyneczka przykuła moją uwagę niewidzialnymi pętami, tak, że nie mogłem się od niej oderwać. W czasie obiadu starałem się dowiedzieć bliższych szczegółów od obsługującej mnie gospodyni o staruszcze, która takiemu drogocennemu klejnotowi przeznaczyła tak dziwne schronienie, nie mając widocznie pojęcia o jego wartości — lecz nie dowiedziałem się niczego specjalnego. W jesieni życia wyszła za sekretarza magistratu; gdzie ją poznał, jak brzmiało jej nazwisko panieńskie, o tym nikt już nie wiedział.

O tym ostatnim szczególe dowiedziałem się na cmentarzu, gdzie pokazano mi nagrobek, świeżo pomalowany, głoszący złotymi literami, że tutaj spoczywa snem wiecznym czcigodna wdowa Heerengracht, urodzona Jones. Ale Jones jest w Anglii nazwiskiem tak rozpowszechnionym, jak w Niemczech Müller lub Schulze, — niechże mi kto wyszuka Jones w Anglii!

Kościelny, do którego zwróciłem się o bliższe informacje, otworzył poźółkłe foliały, zawierające starannie prowadzoną rejestrację członków gminy — przy czym dowiedziałem się, że Brygita Jones ujrzała światło dzienne przed dziewięćdziesięciu jeden laty w Anglii, mieście Pembroke. No, to już były jakie takie poszlaki. Ogólnie rzecz biorąc,

kościelny nie należał zupełnie do zwolenników „dobrodziejki miasta” i określił ją jako osobę dziwną, skąpą i zarozumiałą, która uważała siebie za coś lepszego od innych obywateli, nie wyłączając nawet żony burmistrza, przy czym każdy mógł poznać, że żałowała swego „mezaliansu”, wychodząc za swego męża. Papiery rodowe, które by dawały świadectwo jej pochodzeniu, nie znalazły się zupełnie, a gdyby papiery te za życia posiadała, musiała je dawno zniszczyć. Pozostawiła jednak w spadku bardzo piękne urządzenie gospodarstwa i mieszkania, wcale przyzwoitą gotówkę, jako też papiery wartościowe, domek i rozmaite precjoza, zwłaszcza piękny złoty zegarek z herbem, wrytym na kopercie, zdobnej prócz tego w dedykację w języku angielskim. Kto stał się posiadaczem tego zegarka, tego już kościelny nie mógł powiedzieć.

Któż to mógł być, ta pani Heerengracht ze swymi arystokratycznymi fumami? W jaki sposób dostała się jej moja kasetka na relikwie? I dlaczego schowała ją aż do drewnutni? Stanowczo usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej w tej sprawie.

Wróciwszy do oberży dowiedziałem się, że pociąg mój odjeżdża dopiero jutro w południe — miałem zatem przed sobą jeszcze kilkanaście godzin pobytu w miasteczku. Tym razem poddałem się losowi o wiele chętniej i przepędziłem cały wieczór nad badaniem systemu, pomagającego mi otworzyć dziwną kasetkę — niestety bezskutecznie.

Przy tej sposobności zrobiłem inne odkrycie, mianowicie podstawa relikwiarzyka, była to srebrna, gładka płyta, którą obmyłem starannie, spodziewając się, że znajdę może jakiś napis. Przecucie mnie nie zawiodło. Natychmiast jednak poznałem, że to nie ręka mistrza wygrawerowała te znaki, lecz ktoś nieznający się na sztuce rycia na metalach, którego rylec zawodził często, odskakując od płyty; to też z trudem i jedynie przy pomocy lupy zdołałem napis odcyfrować.